

WRAŻENIA Z ANGLJI

CYKL „POLACY NA SZLAKACH ŚWIATA”

WACŁAW SIEROSZEWSKI

BIBLIOTEČKA
HISTORYCZNO - GEOGRAFICZNA

№ 162



CENA 30 GR.

Pol 1890

13 książeczek do wyboru za 3 zł.

Przesyłka bezpłatna — pieniądze przy zamówieniu
Obstalowujący mniej niż 13 książeczek, płać po 30 gr.
od sztuki i 20 gr. za przesyłkę.

Zaznaczone gwiazdką — odpowiednie dla młodzieży.

1. „Sfałszowany testament“ W. Bilan.
2. „Söliman i Roksolana“ Melcer-Rutkowska.
3. „Każń Mikołaja II“ J. Łużyc.
4. „Żywot Nerona“ J. Ejsmond.
5. „Timurlenk“ J. Bandrowski.
- *6. „Mord Cezara i śmierć Kleopatry“ Prof. dr. Górka.
7. „Żelazna dziewczica“ Melcer-Rutkowska.
- *8. „Naszyjnik Królowej“ Sierosławski.
- *9. „Bohaterowie Krzyża“ prof. dr. O. Górka.
10. „Kurtyzany Rzymu“ dr. Skarbek Tłuchowski.
11. „Kawaler Lauzun“ dr. Zajączkowski.
12. „Tysiąc dziwów prawdziwych“ J. Tuwim.
13. „Gwiazdy filmowe“ L. Brun.
14. „Lady Hamilton i lord Nelson“ Melcer-Rutkowska.
15. „Tajemnica pochodzenia Franciszka Józefa“ Nowicki.
16. „Tajemnice amuletów i talizmanów“ J. Tuwim.
- *17. „Korsarze 1914 r.“ St. Wojtkiewicz.
- *18. „Biały burnus i czarne oczy“ Piotr Łot.
19. „Kapitan Scott“ prof. dr. St. Nowakowski.
- *20. „J. Kr. Mość Sisowath“ K. Sieroszewski.
21. „Piękna Doboszanka“ St. Cieszkowski.
- *22. „Ciupasem na Syberję“ W. Sieroszewski.
23. „Tzeu-Hi władczyni bokserów“ M. Kuncewiczowa.
- *24. „Z tronu na szafot“ L. Choromański.
25. „Proces Bispinga“ Adwokat Okręt.
- *26. „Zabobony myśliwskie“ J. Ejsmond.
27. „Mata-Hari, tancerka-szpieg“ M. J. Brlares.
- *28. „Wyprawa na Ewerest“ Inż. Libański.
29. „Tragiczna miłość Oświęcimów“ W. Rutkowska.
30. „Dandolo, Joanna D'Arc“ prof. dr. Górka.
31. „Proces Capelle-Lafarge“ Marja Szpyrkówna.
32. „Jak zabiłem Rasputina“ Puryszkiewicz.
- *33. „Grób na Falklandach“ St. Wojtkiewicz.
34. „Kochanka Franciszka Józefa“ A. Nowicki.
- 35-36. „Warszawa w ogniu“ Wojtkiewicz, Rutkowska.
37. „Skunderbeg, lew Albanji“ J. Bandrowski.
- *38. „Pułkownik Miasojedow“ Breszko-Breszkowski.
39. „Z kęglem polarnym“ W. Sieroszewski.
40. „Dwaj Zbrodniarze“ Dr. Hofmoki-Ostrowski.
41. „Zdobywanie Syberji“ Prof. Dr. St. Nowakowski.
- *42. „John Big Foot“ Włdra-Przewłocki.
- *43. „Powstanie gruzińskie 1924 r.“ Breszko-Breszkowski.
- 44-45. „Czarny Czarownik“ F. A. Ossendowski.
- *46. „Zemsta lorda Fischera“ St. Strumph-Wojtkiewicz.
47. „Sara Bernard“ Skarbek.
48. „35.000 klm. przez lądy i morza“ Por. Lepecki.
49. „Tragedja w Meyerlinku“ A. Nowicki.
50. „Z tajników carskiej policji“ Koszko, b. szef p. śl. Rosji.

Dalszy ciąg patrz str. 3-cia okładki.

OPŁATA POCZTOWA RYCZAŁTEM

Nr. 162.

Nr. 162.

BIBLIOTECZKA
HISTORYCZNO-GEOGRAFICZNA
CYKL „POLACY NA SZLAKACH ŚWIATA”

WACŁAW SIEROSZEWSKI

WRAŻENIA Z ANGLII

Nie kłamać —

bawiąc.

Dr. med.

ANTONI NASIŁOWSKI

W Sosnowcu



Nie nudzić —

ucząc.

Dr. med.
ANTONI NASIŁOWSKI
W Sosnowcu

T-WO WYD „RÓJ” S. Z O. O.

WARSZAWA, KREDYTOWA 1. P. K. O. Nr. 9880.

Tomiki biblioteczki historyczno-geograficznej są łączone w następujące cykle:

- „SŁYNNI KOCHANKOWIE” Nr. Nr. 2, 11, 14, 104, 111, 129.
„ROSJA NA RUBIEŻY” Nr. Nr. 3, 32, 43, 63, 74, 80, 88, 90, 93,
98, 119, 121
„WŁADCY” Nr. Nr. 4, 20, 23, 53, 103
„PIORUNY I BŁYSKAWICE WSCHODU” Nr. Nr. 5, 37, 54, 66,
„JAK UMIERALI WIELCY LUDZIE” Nr. Nr. 6, 9, 30.
„CYKL OBYCZAJOWY” Nr. Nr. 7, 10, 65, 68, 81, 94.
„WIELKIE PROCESY” Nr. Nr. 1, 8, 24, 25, 31, 40, 67, 69, 133,
„EKRAŃ I SCENA” Nr. Nr. 13, 47, 57, 71, 86, 136
„ZMIERZCH HABSBURGÓW” Nr. Nr. 15, 34, 49, 55, 92.
„CYKL MORSKI” Nr. Nr. 17, 33, 46, 59—60, 91, 105, 107, 112,
117, 120, 125, 127, 131, 137, 114, 144, 145, 153, 159.
„POLACY NA SZLAKACH ŚWIATA” Nr. Nr. 18, 22, 39, 42,
44—45, 48, 58, 61, 72, 108, 140, 151.
„ZDOBYWCY I ODKRYWCY ŚWIATA” Nr. Nr. 19, 28, 41, 77, 114,
„CYKL MYŚLIWSKI” Nr. Nr. 26, 52.
„CYKL SZPIEGOWSKI” Nr. Nr. 27, 38, 51, 69, 76, 82, 84, 87, 96,
99, 110, 118, 130, 157.
„CYKL KRYMINALNY” Nr. Nr. 50, 73, 75, 95, 113, 132, 141, 148,
150
„CYKL LOJNICZY” Nr. Nr. 79, 85, 102, 124, 128, 134—135.
„WOLA I PRACA” Nr. Nr. 62, 109
„POLSKI CYKL OBYCZAJOWY” 21, 29, 56, 78, 83, 94, 138—139,
46, 155, 158, 161
„ŚWIAT DZIWÓW” Nr. Nr. 12, 16, 64, 81, 115—116, 122—123, 126,
140—141, 149, 151—152, 160
„WALKI O NIEPODLEGŁOŚĆ” Nr. Nr. 35—36, 70, 100—101,
„CYKL SPORT WY” Nr. 147, 156
„SPISKI I ZAMACHY” Nr. 106.

ANGLJA.

P. E. N. CLUB.

P. E. N. Club jest organizacją literatów całego świata, „Pen” znaczy po angielsku „pióro”, lecz nazwa „Klub Pióra” powstała jedynie dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, że składają się na nią inicjały trzech rodzajów twórczości: „poets, essayists, novelists” wchodzących w zakres organizacji. We wszystkich prawie państwach europejskich, za wyjątkiem Rosji Sowieckiej, utworzyły się kluby pod tą nazwą i połączyły w ogólną federację z centralą w Londynie. Poza Europą istnieją P. E. N. Kluby w Ameryce (Kanada, Stany Zjednoczone) i Azji (Japonja, Indje).

Powstał P. E. N. Klub zaraz po w. wojnie.

Założycielką P. E. N. Klubu jest wielce zasłużona miss C. A. Dawson - Scott. Pre-

zesem federacji jest obecnie J. Galsworthy. Każdy kraj ma swego przedstawiciela w Radzie Centralnej. Jest to przedstawicielstwo honorowe, gdyż życie organizacji skupia się w klubach poszczególnych, zbiorowe zaś zagadnienia rozstrzygane są na zjazdach, odbywających się co rok w innym państwie. *)

Istnieje jeszcze jeden zwyczaj, służący za więź między organizacjami, mianowicie: co miesiąc londyńska centrala P. E. N. Klubów wydaje obiad, na który zaprasza kolejno przedstawicieli sfederowanych związków. W 1927 roku zaproszono Polskę. Było to już trzecie z rzędu zaproszenie, lecz pierwszy z zaproszonych, założyciel polskiego P. E. N. Klubu, Stefan Żeromski, zachorował i umarł, następcą jego, J. Kasprowicz również umarł. Musiałem jechać ja, który w tym czasie zostałem wybrany na ich miejsce.

Wyznaję, iż zaproszenie zaskoczyło mnie, musiałem zawiesić rozpoczęte prace literackie, ale odmowa lub dalsza zwłoka były nie do pomyslenia.

W końcu lutego znalazłem się w Londynie. Oznajmiono mi, że 1-go marca o go-

*) Zjazd taki odbył się w Warszawie w czerwcu 1930 roku.

dzinie 6 wieczorem w salach „Garden Club'u” odbędzie się uroczysty bankiet. Ubrałem się we frak i pojechałem w oznaczonym czasie, ale spóźniłem się cokolwiek, gdyż szofer, korzystając z mojej nieznajomości Londynu, woził mnie dość długo dookoła. Kiedy nareszcie przybyłem, sala była już pełna pań i panów w wieczorowych strojach.

— Nie będzie już czasu na rozmowy i zaznajamiania się!... Idziemy zaraz do stołu! — oznajmił mi mr. Stephen Graham, który przewodniczył w zastępstwie J. Galsworthy'ego. Ten ostatni podróżował po Południowej Afryce.

Posadzono mnie tuż obok „chairman'a”, między dwiema paniami, z których jedna była prześliczną brunetką, a druga uroczą Polką, żoną bogatego angielskiego kupca.

Po jakimś czasie zaczęły się przemówienia. Pierwszy przemawiał Mr. Graham, jako „chairman”. Przedstawił mnie zebranym, mówił o znaczeniu polskiej literatury, przyczem pomieszał nas z literaturą rosyjską, wtrącając nazwiska Tolstoja i Dostojewskiego! Mieli jeszcze inni przemawiać, lecz mr. Graham zapoznawszy się ze streszczeniem mego przemówienia, głosu nikomu nie udzielił.

— Według naszych zwyczajów każda

mowa trwać powinna najwyżej pięć minut. Przygotowane przemówienie naszego gościa jest trzy razy dłuższe, wobec tego nie starczy czasu na inne!...

Chciałem się zrzec przemówienia, ale chórem ozwały się głosy:

— Prosimy!... Bardzo prosimy!

Ostrzegano mnie, żebym nie mówił zbyt poważnie i patetycznie, że w Anglii na wystąpieniach „zastolnych” to nieprzyjęte. Przystosowałem się o ile możliwości do tych wskazówek i powstawszy z miejsca, zacząłem czytać:

Mister Chairman!

Szanowni koledzy, panie i panowie!

„Uśmiech jest rzeczą tak rzadką na twarzy ludzi powojennych, że samo wywołanie go jest już, doprawdy, pewną zasługą. Mam nadzieję, że moja angielska wymowa wywoła go nieraz na wasze, panowie, usta. Zapewniam was jednak, że język angielski jest równie trudny dla Polaka, jak polski dla Anglika, że pod tym względem panuje zupełna demokratyczna równość. Trudności porozumienia nie mogą nas zrażać, gdyż dążność do zjednoczenia się kultur i ludów nie tylko jest zgodna z duchem czasu, lecz nawet zalecana mocno przez Ligę Narodów. Mówiono wielokroć, że Pen Klub jest Ligą Narodów w dziedzinie my-

sił, więc cnoc przemawiam do mistrzów stylu, liczę na ich pobłażliwość i nie wstydzę się moich niezgrabnych zwrotów. Jestem pewny, że każdy z panów, ubierze w lot moją szarą i niemrawą myśl w najcudniejsze barwy swojej wyobraźni.

Opuszczam jednak skwapliwie dziedzinę ogólników, graniczącą blisko z niebezpieczną sferą polityki i przechodzę do rzeczy, która spodziewam się, że zjednoczy nas wszystkich, gdyż grozi naszemu zajęciu — literaturze. Jest nią technika. Nie jestem jej wrogiem. Owszem, przybyłem z przyjemnością do Anglii koleją i parowcem i raduje mnie myśl, że mogę ją opuścić aeroplanem, nawet w czasie marcowych wiatrów. W istocie powinienem był przyjechać konno, jak jeden z muszkieterów Dumasa, gdyż niedawno jeszcze miałem zaszczyt służyć w Legionach Piłsudskiego.

Byłaby to bezwątpienia bardzo przyjemna i pouczająca przejażdżka, ale cokolwiek... przydługa. Kraj nasz nie leży wprawdzie w Małej Azji, jak to twierdził pewien wszechświatowej sławy dyplomata, lecz, bądź co bądź, z Warszawy do Londynu jest około 1.000 mil angielskich. Przebyłem je przez Berlin, Ostendę, Dower w 36 godzin. Jest to podróż wygodna i bardzo krótka, lecz jakże drogo za te jej zalety płaci nasza wyobraźnia! Ile omija nas

w ten sposób wesołych przygód, interesujących spotkań, ponętnych uśmiechów, nieoczekiwanych znajomości, jakie były udziałem dawnego jeźdźca albo pasażera dyliżansu! Ile ślicznych krajobrazów, wschodów i zachodów słońca, burz, śnieżyc, cisy słonecznego południa wchodziło przez oczy nasze do duszy naszej w ciągu tej tygodnie trwającej przejażdżki, aby wyobraźnię naszą na życie całe zapłodnić nieprzebranem bogactwem barw, kształtów i uczuć!... Dziś mocna klatka kolejowego wagonu łączy nas z ludźmi, którzy nie chcą i nie mogą być dla nas zajmujący w ciągu kilku wspólnych godzin kolejowej nudy... Krajobraz przewija się przed szybą naszego „coupe” z szybkością i mglistością kinematograficznego obrazu. Tyle go i widzimy!

Taką jest podróż współczesna — owa po wsze czasy najbardziej życiodajna karmicielka literatury! Ale technika i w wielu innych dziedzinach dąży nieustannie do pozbawienia nas bezpośredniego zetknięcia się z przyrodą, zmusza do zastąpienia jej podnieceniami sztucznymi, jak sporty, widowiska, charlestony, gazety, polityka... Z kolei przechodzę do bezpośredniej, społecznej techniki literackiego tworzenia. Jakże bardzo zmieniła się ona w ostatnich czasach!... Jakże daleko od nas te miłe

chwile, kiedy to w skupieniu siadaliśmy przed rozłożonemi na stole ćwiartkami białego papieru i czekali w rozkosznem podnieceniu natchnienia, maczając wielokroć pióro w kałamarzu! Jakże przyjemnie było w chwilach namysłu rysować na marginesie rękopisu główki naszych bohaterów, karykatury bohaterów, opisywane widoczki, ba, całe sceny naszej przyszłej powieści!... Dziś bębni się na piszącej maszynie, jak na fortepianie. Grzmi i pędzi wszystko niby pociąg kurjerski... Zanim się człowiek opatrzy, już nowelka albo powieść skończona... Pozostaje: szum w głowie, niesmak w duszy, jak po zbyt pośpiesznym flircie... Co jednak robić?! Czy można pozwolić sobie na cnotliwą, starodawną powolność?! Co powiedzą wydawcy, którzy nie tylko żądają rękopisów pisanych na maszynie, lecz wymagają, aby powieść zawsze była świeżutka jak poranna bułeczka, ciepła jeszcze i cała woniejąca podmuchami współczesności. A publiczność?... Czyż nie kręci nosem na trącające myszką szpargały? Ona potrzebuje bohatera lotnika, nurka podwodnego, widma zaświatowego, wreszcie złodzieja nadzwyczajnego albo mordercy, używającego gazów trujących... A bohaterka? Bohaterka musi być tak nadzwyczajna, że ja nie śmiem nawet o niej mówić w tem poważnem gronie. Sam opis jej

toalety wymaga całego słownika technicznych wyrażań, o których my, starodawni pisarze, pojęcia nie mamy... Cóż dopiero opisanie jej uczuć? To zupełnie coś innego niż opisanie wdzięków brunetki albo blondynki, tak dobrze znanych nam od wieków! Ale gorzej jeszcze, że coraz częściej żądają od nas opisywania duszy maszyny, albo namiętności tłumu, tego wielogłowego współczesnego sfinksa!... A wszystko zgodne być musi w dodatku z wymaganiami i upodobaniami Jej Królewskiej Mości Demokracji!... I ma być to zrobione galopem, w mgnieniu oka, na tej strasznej, piszącej maszynie. Mówią nam w dodatku, że to dopiero początek, że wkrótce i maszyna pisząca zostanie odrzucona jako stary rupieć! Książki, papier, atrament, nawet wydawcy znikną (miliard dolarów oszczędności)! Autorzy przemawiać będą przez fonografy, mikrofony. Czytelnik zamieni się w słuchacza. Zniknie alfabet a z nim razem współczesne szkoły (nowe miliardy oszczędności)... Zamiast szaf bibliotecznych, pojawiają się guziczki i słuchawki... Znikną biblioteczne myszy i biblioteczny kurz... a ośle uszy zużytych książek zostaną zastąpione przez ochrypłość głosów i zgrzyt zużytych błon... Znikną miłe tomiki w skórzanej lub płóciennnej oprawie! Znikną ilustracje — zastąpi je teleradio...

Zniknie, rzecz prosta... wydawca, a z nim tak miła sercu literata... zaliczka! Styl wyparty zostanie przez „timbre” i modulację głosu. Autorzy upodobnią się do śpiewaków. Przewiduję, że rozwój literatury tego rodzaju pójdzie jeszcze dalej i zwykłą koleją rzeczy światowych wróci do tych literackich pierwocin, jakie widziałem wśród dzikich plemion dalekiej Azji. Tam, aby wyśpiewać epos, zbiera się przed słuchaczami cała gromada artystów, jeden śpiewa głosem bohatera, dziewczyna naśladuje bohaterkę, druga czarny charakter, inny znowu opowiada przebieg wypadków, jeszcze inny opisuje krajobraz, udaje szum lasu, bełkot wody, grzmot pioruna... Są tacy, co w odpowiedniej chwili świergocą jak ptactwo, albo ryczą jak zwierzęta dzikie... Niemałą rolę odgrywa ten, co naśladuje konia bohatera... Jeżeli podobne metody zostaną wprowadzone do współczesnej powieści i rozpowszechnione za pomocą radio - głosu i radio - wzroku, autor zejdzie do roli mniej lub więcej zdolnego reżysera kinematograficznego... A wtedy Muza Poezji zniknie z Parnasu, a raczej obetnie włosy, przebierze się w krótką sukienkę i zmieni zajęcie — zostanie artystką kinematograficzną...

Kiedy podobne myśli przychodzą do głowy, podchodzę do zwierciadła, przy-

gładam się moim białym włosom i mówię sobie z radością: — „Jakże dobrze, że już wtedy mnie nie będzie!”

Obecnie jednak, dopóki telewizja nie zamieniły, miłych jak ten, bankietów na obcowanie cieniów, cieszę się, iż mogę rzeczywistym winem wnieść w ręce współczesnych pisarzy angielskich zdrowie, stariej, wesołej Anglii!...”

Słuchano mnie bardzo uważnie a stłumiony śmiech w paru odpowiednich miejscach upewnił mnie, że pomimo mojej złej wymowy — zrozumiano mnie bardzo dobrze. Przemówił jeszcze ktoś już bardzo krótko, poczem przeszliśmy do sąsiedniego salonu, gdzie podano czarną kawę. Potoczyła się ogólna rozmowa, otoczono mnie zewszystkich stron, zasypano zapytaniem, zaczęto zapraszać uprzejmie na „five o clock‘i” i obiady. Najdłużej jednak i najnatarczywiej interpelował mnie pewien wygolony i chudawy pan o specjalnie angielskim wyglądzie.

— Pan wspomniał, że pan był ułanem. Czy to ma znaczyć, że Polacy lubią konie?

— Mój naród od wieków był narodem jeźdźców! — odpowiedziałem.

— A jakie macie konie?

— Koni mamy teraz mało, gdyż dużo

wyginęło w czasie wojny, a jeszcze więcej uprowadzili do siebie Niemcy.

— Czy to były prawdziwe konie, bo ja słyszałem, że w Polsce są tylko kucyki („pony”).

— Nasze włościańskie koniki są małe, ale mamy i rosłe, bardzo dobre robocze konie. W przeszłości mieliśmy piękną rasę własnych koni bojowych, szybszych i zwinniejszych od północnych koni niemieckich, lecz cięższych i wytrzymalszych od koni tureckich i arabskich, od których pochodziły. Taka odmiana była potrzebna dla naszej „husarji”.

— Aha, słyszałem, słyszałem: skrzydlaci jeźdźcy — przerwał mi Anglik słuchający z wielką uwagą.

— Teraz jednak tej rasy niema?

— Tak niema. Staramy się jednak wyhodować własną odmianę.

— To niełatwo, Anglicy musieli setki lat...

— Zapewne: Ale macie teraz najlepsze wyścigowe konie na świecie.

— Nietylko wyścigowe. Mamy wogóle najlepszych jeźdźców i najlepszy sport koński.

Sportmeński zapał mego rozmówcy rozśmieszył mnie trochę, zapragnąłem go nieco podrażnić.

— Łgoda, macie najlepsze kome, ale jeźdźców najlepszych mamy my! — odrzekłem stanowczo. Efekt był nadzwyczajny, dżentelmen cofnął się o pół kroku.

Co! Pan chyba nie widział naszej jazdy?! Zapraszam pana na przyszłą jesień do siebie na polowanie na lisy! — dodał z pewną wyniosłością i podał mi swój bilet wizytowy.

Na karcie odczytałem utytułowane nazwisko, londyński i prowincjonalny adres. Rozstaliśmy się bardzo... bardzo przyjaźnie.

Taka była moja najdłuższa rozmowa na Penklubowskim bankiecie w 1927 roku. O literaturze nikt tam wtedy nie mówił; było to zebranie wyłącznie towarzyskie, na którem wydało mi się, że unikano nawet literackich tematów.

Jakże inny był bankiet w Oslo w dwa lata później. Jakże się zmienił w miarę rozrostu sam charakter P. E. N. Klubu. Stał się on istotnie „literacką Ligą Narodów”, gdzie poważnie rozstrząsane są na zjazdach ogólnych doniosłe sprawy międzynarodowych literackich stosunków, poszukiwane jest sprawiedliwe stosowanie praw autorskich, oraz zawisłych i niezmiernie trudnych zagadnień przekładowych.

Zjazd w Warszawie w roku b. był ogromnym krokiem naprzód w tych kwestjach.

Wyznaję, że w Londynie zdziwił mnie trochę a literacki charakter P. E. N. Klubowskiego bankietu.

— Czy to zawsze tak? — zapytałem.

— Prawie zawsze. — odpowiedziano mi.
— O sztuce i literaturze usłyszysz pan na „five o'clock'ach” lub na „lunchach” prywatnych; tam gdzie pan może nagadać się i nasłuchać, ile pan będzie chciał, ale na bankietach publicznych Anglicy unikają wszystkiego, co mogłoby wywołać jakąkolwiek dyskusję lub rozdrażnienie.

Istotnie, na „five o'clock'ach” słyszałem dużo rozmów o sztuce i literaturze, spotkałem dużo wybitnych i ciekawych ludzi. Między innymi była na jednym księżna Bibesco, bardzo miła, przystojna blondynka, autorka słynnej powieści, gdzie tak złośliwie odmalowała Polaków. Przyglądała mi się równie pilnie, jak ja jej, lecz nie mieliśmy ani ochoty ani sposobności porozmawiać.

Na tych wszystkich dość licznych przyjęciach i zabraniach towarzyskich uderzyła mnie stała obecność Niemców, byli to zwykle bardzo elegancko ubrani to starsi, to zupełnie młodzi panowie. gładcy, mówiący doskonale po angielsku, którzy zostawali do samego końca zebrań i na ostatku zręcznie skupiali dookoła siebie powszech-

na uwagę. Wszystko wiedzieli i o wszystkim mówili. Zachwycała mnie wprost ich natarczywość i zręczność propagandowa. Zauważyłem ją później i w Ameryce.

Z rozmów o literaturze utkwiły mi w pamięci najmocniej rozmowy z panem Drinkwater, znanym autorem „Lincolna”, oraz z panem John M. Murry, niezmiernie miłym i subtelnym redaktorem miesięcznika „The Adelphi”. W obu wypadkach towarzyszył mi p. F. Sobieniowski, a przedmiotem rozmowy było rozbicie i zanarchizowanie powojennych prądów literackich na całym świecie.

Pamiętam zdanie wygłoszone w końcu przez p. Murry'a:

— „Trudno, literatura musi być odbiciem życia! Długo więc pewnie będzie odtwarzać poszukiwanie ideałów i tęsknotę za tradycją, rozbitemi i zatraconemi w czasie wielkiej wojny. Długo będzie chora na niemoc syntetyczną!” — zauważyłem z melancholijnym uśmiechem.

LONDYN, 6 marca 1927.

Czy można porwać się na opisywanie Londynu po parotygodniowym w nim pobycie? Samo postawienie kwestji wydaje się dziwne i śmieszne. Potworne miasto,

mające tyle prawie ludności, co połowa Czechosłowacji, drwi sobie pod tym względem z ludzkich wysiłków. Setki pisarzy, tu urodzonych, w ciągu setek lat obierały go sobie za przedmiot twórczej wizji i nie wyczerpały jego treści. I wciąż jeszcze Londyn pod piórem powieściopisarzy i nowelistów zdradza nie tylko tajemnice naradzających się nowych duchowych powikłań, lecz otwiera przed oczami własnych mieszkańców, odbite w zwierciadłach poetów, czarujące i nieznane piękno jego miejskiego krajobrazu... Nawet mgły i deszcz mają tu swój urok i swoją patetyczność, gdyż z nich to rodzą się te nieuchwytnie, często niezrozumiałe dla innych Europejczyków, drgania radosne lub bolesne duszy angielskiej.

Dwa tylko miasta świata: Pekin i Nowy Jork — dorównywują mu ogromem i bogactwem. Są to zaiste trzy „Malströmy” ludzkiego życia, oszałamiające potęgą swego ruchu i swej rozmaitości. Ale jakże są różne! Pekin — płaskie jak morze — mrówcze rojowisko ludzkie, błękitno - złote, pstre, krzykliwe, zmieszane, przelewające się z niesamowitym szumem wśród starych i wysokich jak złomy skalne, murów i bram. Z oceanu szarych, niskich dachów wyłaniają się tu i ówdzie wysoko oddzielne szczyty świątyń i pagód, rzeźbione

przedziwnie i błękitne z oddali jak tatrzańskie turnie...

Nowy Jork — szczególnie jego dzielnica, „drapaczy nieba” — to jakieś ludzkie Himalaje, zuchwałe, młodzieńcze wyzwanie, rzucone żywiołom i niebiosom przez tłumy ludzi, pędzących spienionym potokiem szczelinami zbudowanych przez siebie ulic, wczoraj jeszcze przestronych, lecz dziś zapłytłych już dlań, zaciasnych...

W Londynie nic podobnego. Ludzka rzeka płynie nurtem niemniej obfitym i potężnym, lecz bez śladu burzliwości i niepokoju. Nawet w czasie obiadowej przerwy, albo wieczorem po skończonem zajęciu, kiedy tłumy pracowników wylewają się z biur i warsztatów, kiedy „tub'y” (podziemne koleje) i „buss'y” (omnibusy) przepełnione są spieszącymi do domów rzeszami, niema tłoku, nikt tu nikogo nie potrąca, nie popycha, chociaż czuć, że każda minuta jest tu dla pracownika droga. Samochodów dużo; jeżdżą szybko i nie trąbią, a mimo to, mam wrażenie, że wypadków tu o wiele mniej, niż w New Yorku, ba, może nawet mniej, niż w Warszawie. Wszędzie czuje się niezmierną, mocno gruntowaną organizacyjność życia, która bez przeszkód i przerw narastała spokojnie w ciągu stuleci. Napisy na rogach ulic, na stacjach, na wirzyskach

miejskiego ruchu, jak Piccadilly, Oxford Circus, Trafalgar sq. City i t. d. — dokładnie, ale bez niemieckiej gadatliwości, pozwalają doskonale orjentować się w kierunkach i korzystać z wszelkich rodzajów komunikacyj nawet świeżo przybyłemu do Londynu podróżnikowi. W kłopotliwej chwili zawsze może udać się do policjanta, który choć bardzo zajęty kierownictwem ulicznego ruchu, nie omieszka dać żądanych wskazówek i nawet zaopiekuje się pytającym w razie potrzeby. Również zapytani o wskazówki przechodnie, dają odpowiedzi szczegółowe, nie zdradzając najmniejszego zniecierpliwienia. Na wszystkim leży pewien odcień solidności i dżentelmeństwa. Wszystko czynione jest z równomierną, nieprzymuszoną energją, ale bez pośpiechu. I to działa jakoś kojąco na wytrąconego z równowagi lub zmęczonego obcością środowiska przybysza. Nawet architektura Londynu jest jakaś spokojna. Domy po większej części niewysokie dwu- lub trzy-piętrowe uderzają rozmiarami i mnogością okien. Odrazu się czuje, że poza temi ogromnemi szybami musi być jasno, wesoło, a w słoneczne dnie... słoneczno i przytulnie. Wielka ilość oszklonych wykuszy potęguje to wrażenie „siedlisk gniazd rodzinnych“, obserwujących „ulicę“ z oddala i ukrycia.

Tak było dawniej, ale już być przestaje. Podobno dawne liczne rodziny angielskie są coraz rzadsze. Podobno przyrost ludności jest coraz mniejszy, ba, niektórzy mówią, że naogół mniejszy, niż we Francji, i że zaludnienie trzyma się na stałej wysokości jedynie dzięki znacznemu zmniejszaniu się z roku na rok śmiertelności.

Nie przypuszczam, aby powodem słabej rozrodczości był niedostatek; nie znać tego; nie jest nią również francuska oszczędność... Na dnie więc tego zjawiska leżą jakieś głębsze, uczuciowe i duchowe pobudki, których tak trudno dociec, gdyż są ukryte w duszy angielskiej, zamkniętej na siedem często spustów nawet dla najbliższych, a często zamkniętej nawet... dla siebie samej..., jak twierdzi Galsworthy, jeden z najlepszych znawców psychologii angielskiej.

Czyni to badanie życia Anglików we wszystkich dziedzinach rzeczą niezmiernie zajmującą, szczególnie, jeżeli ma się poczucie, że rozwiązują się tu teraz zarówno polityczne, socjalne, jak i moralne problemy dotyczące przyszłości nie tylko Anglii, ale i całego świata.

W DZIELNICY ROBOTNICZEJ.

„Dziś mgła, ale mgła „mist”, którą można wytrzymać. Kiedy zaś przyjdzie

mgła „fog” — od niej każdy dostaje spleenu, gdyż nie widać już nic na długość wyciągniętej ręki”...

Na szczęście mgła „mist” pozwala nam oglądać wspaniałą perspektywę nieskończenie długiej ulicy „Egware Road...”, którą przebywamy na imperjału autobusu... Ruch wielki, rośnie w miarę zbliżania się do uboższych, przemysłowych dzielnic. Jedziemy do doków, do „Borough of Poplar” (Okręgu Topolowego). Cały Londyn podzielony jest na samorządowe okręgi, mające osobne dzielnicowe magistraty, oraz rady miejskie, pozostające ze sobą w związku głównie przez osobę Lorda Mayora i podwładną mu centralną magistraturę.

„Poplar” leży na półwyspie, jaki tworzy w środku Londynu pętlica Tamizy. Po obu brzegach rzeki olbrzymie doki, ładownicze przystanie, warsztaty reperacji i budowy okrętów. Dzielnica, zaludniona przeważnie przez robotników, ma magistrat przeważnie robotniczy z Labour Party, i „mayora” również radykalnego. Byli uprzedzeni o naszym przybyciu; członek magistratu, wyznaczony nam na przewodnika, powitał nas bardzo uprzejmie, zaprowadził do mayora, który na chwilę oderwał się od pracy — jest małym urzędnikiem na poczcie — i przyszedł, aby nas przywitać.

Przyszedł trzeci urzędnik, również były robotnik o bardzo inteligentnych, bystrych oczach, który zaczął nam dawać ścisłe odpowiedzi i przytaczać cyfry, dotyczące się samorządu, opieki nad robotnikami, organizacji biur pośrednictwa pracy, bezrobotnych i t. d. Wszyscy byli bardzo uprzejmi, ale twarze rozjaśniły im się serdecznie dopiero wtedy, kiedy od mego towarzysza dowiedzieli się, że nie tylko jestem pisarzem polskim, lecz należę do najpierwszych założycieli ruchu socjalistycznego w Polsce. Wtedy zupełnie się rozkrochmali i z pewną nawet skwapliwością zaczęli odpowiadać o działalności ich robotniczego samorządu. Bezrobotnych w swojej dzielnicy mają dużo, coś do 20.000. Część bezrobotnych używają do robót przeważnie drogowych, brukowych, kanalizacyjnych... Przy budowlach, których wznoszą dużo, trzeba specjalistów i dlatego tak mało pracuje bezrobotnych; przeważnie robotnicy niefachowi, dniówkowi...

„Lepiej płacić zapomogi, niż partolić robotę!” — tłumaczyli. Z początku zapomogi wydaje rząd; ale po 26 tygodniach rząd przestaje wypłacać zapomogę bezrobotnemu. Następuje paromiesięczna przerwa, podczas której bezrobotny musi starać się o ponowne wciągnięcie go na listę potrzebujących i zasługujących na wspar-

cie. Po nowych 26 tygodniach rząd zupełnie przerywa wypłatę zapomogi temu samemu robotnikowi i jego rodzinie. Przechodzą oni całkowicie na utrzymanie swego samorządu!

— Czy to utrzymanie jest gorsze od rządowego?

— To zależy: jeżeli w dzielnicy samorząd jest w rękach robotniczych, zapomoga częstokroć jest większa i opieka staranniejsza. Ale w dzielnicach z mniejszością robotniczą jest bezrobotnym źle, często bardzo źle!...

— Skąd czerpią fundusze dzielnice robotnicze na utrzymanie swoich bezrobotnych.

— Z podatków. Ale prócz tego utworzył się specjalny fundusz zapomogowy wskutek wyrównania przez władze miejskie centralne ogólnych podatków miejskich. Gdyż były dzielnice bardzo bogate mające małe stosunkowo wydatki, nie mające wcale bezrobotnych ani urządzeń społecznych, zamieszkałe przez ludzi zamożnych, gdzie magistraty wskutek tego mogły miejskie podatki niezmiernie obniżyć. Otóż obecnie podatki we wszystkich dzielnicach są zrównane, przewyżka dochodów nad wydatkami wpływa do Kasy Centralnej i jest używana na pokrycie niedoborów

w dzielnicach biednych, obciążonych nadmiernymi podatkami, głównie na bezrobotnych, na opiekę społeczną, zdrowotność i t. d. Mimo to jest ciężko...

Istotnie, obchodząc dzielnicę, widziałem przed bramami fabryk i domów, pod ścianami wielkich składów, na rogach ulic, gromadki robotników, beczynn timer wyczekujących na pracę, z oczami nieskończenie smutnemi, jakby zapatrzonemi w pustkę i marnotrawstwo ich istnienia, jakby wyjętych z wiru przewalającej się dokoła pracy, niby martwe głązy, sterczące wśród rzeki życia... Tragiczne wprost postacie, młode, silne i zdrowe. Zupełnie podobne do widzianych przezemnie na ulicach Pabjanic, Łodzi, Białegostoku, Warszawy...

Samochodem magistrackim zawieziono nas przede wszystkim do kąpieli miejskich. W wielkim ogrzany m budynku ogromny basen 50 mtr. długi, 30 szeroki, 6 stóp głęboki, wyłożony fajansowemi kafłami — przeznaczony do wspólnych kąpieli (osobno dla mężczyzn, osobno dla kobiet), gdzie dostaje się ręcznik, oddzielną rozbieralnię, „wszystko, prócz mydła” za 6 pensów (dla ubogich i dzieci 2 pensy). Mogą korzystać jednocześnie z prysznicu. Woda w basenie zmieniana jest dwa razy w tygodniu i codziennie oczysz-

czana mechanicznie zapomocą elektryczności. Radny, który nam towarzyszył, zmusił nas do spróbowania obrzydliwego płynu, który wlewają do wody przed przepuszczeniem przez nią prądu elektrycznego. Był tą „miksturą” zachwycony i dowodził, że ma przedziwny smak i jest bardzo zdrowa!

Prócz ogólnego basenu idą dookoła korytarza oddzielne numery z wannami. Łazienka pierwszej klasy 1 szylinga (dwa złote trzydzieści groszy), drugiej klasy 6 yensów (pół szylinga), trzeciej 2 pensy. Wszystko skromne, proste, ale bardzo czyste i miłe. Wszędzie jakieś ozdóbki, miejscami kwiaty. Takich kąpeli w dzielnicy jest kilka.

Stamtąd pojechaliśmy do pralni miejskich. Obejrzelśmy z początku stare pralnie, a później nowe. Obie pralnie były przepełnione staremi i młodemi żonami robotników, piorącemi bieliznę. Stary system polega na praniu ręcznym w betonowych, oddzielnych dla każdej praczki korytkach. W nowych — maszyny piorą, suszą, maglują. Do prasowania są żelazka elektryczne. Robota odbywa się w nich dziesięć razy szybciej, bielizna zupełnie się nie drze, gdyż w zamkniętych bębnach, ogrzewanych parą o wysokiej temperaturze, obracających się, nieustannie,

niema żadnych mieszadeł, a bielizna przepłukiwana jest prądem gorącej wody, płynącej bez przerwy. Wyciska wodę i suszy wirówka ośrodkowa, przewiewana gorącym powietrzem. Pranie odbywa się z niesłychaną szybkością. Wejście do pralni nowej kosztuje szylinga, a każda godzina pobytu półtora pensa. W starych pralniach za wejście nic się nie płaci, a od godziny te same półtora pensa. Wszędzie obsługa przeważnie kobieca, jedynie przy maszynach mechanik, tym razem młody ładny chłopak, który wnosi w szeregi praczek dużo wesołości. Inwalida z wojny... Dowiedziawszy się, że jesteśmy Polacy, coś tam mamrotał po rosyjsku, gdyż nauczył się parę słów w niemieckiej niewoli. Chciano nam jeszcze pokazać magistrackie piekarnie i sklepy spożywcze, lecz czasu mieliśmy mało, więc zaproponowałem, żebyśmy ruszyli przede wszystkim do domów robotniczych, które mię interesowały najwięcej. Nasz przewodnik, zdaje się członek komitetu budowlanego, był zachwycony.

— Zobacz pan, zobacz pan, wybudowaliśmy całe miasto! Na pustkowiach, na śmietniskach... całe miasto!... — powtarzał, wiodąc nas na kresy dzielnicy.

Istotnie niezadługo znaleźliśmy się wśród szerokich, nowych ulic, po obu stronach których ciągnęły się szeregi bar-

dzio podobnych do siebie ze struktury, nowych, piętrowych domków. Przed każdym prawie był ogródek. W oknach wszędzie widać firanki i kwiaty. Okna duże, wewnątrz jasno, słonecznie.

— Ale zaczniemy od dużych domów, gdyż i my z powodu drożyzny placów przechodzimy do budowy dużych domów! — tłumaczył nam nasz przewodnik, zatrzymując się przed trzypiętrową, długą na paręset kroków kamienicą. W oknach również firanki, rzadziej kwiaty. Zwiedzamy jedno, drugie, trzecie mieszkanie. Zawsze to samo: jeden większy pokój jadalny, jednocześnie bawialny i kuchnia zarazem. Kuchnia ukryta w wielkim angielskim kominie, gdzie w zimie wciąż musi płonąć węgiel. Pokój ten zwykle przepelniony rozmaitemi meblami, wśród których zawsze jest kredens ze szkłem i porcelaną... Wyściełane fotele, rozmaite drobiazgi na półkach, kominku, komodzie... Na ścianach sztychy i oleodruki... Ciasno w tym pokoju; przesiadują tu w wolnych chwilach przeważnie kobiety, gdyż mężczyźni, o ile nie pracują na fabryce siedzą w klubach, na boiskach lub w domach sportowych. Tu również stoi zwykle pianino lub fisharmonja; zastawałem dość często... roztwarte na pulpicie nuty. Mieszkania co do rozmiarów różnią się ilością sypialnych

pokoju. Są takie, co mają jeden sypialny pokój, inne dwa, trzy nawet cztery (zawsze prawie na piętrze, jeżeli mieszkanko zajmuje osobny domek). Mieszkanka, składające się z conajmniej trzech pokoiów, mają dodatkową kuchenkę do gotowania herbaty i pralnię. Mieszkanka z czterech i więcej pokoi mają prócz tego osobną łazienkę. Wszędzie składzik na węgle, zimna spiżarka, wygodka, przedpokój... Wszędzie gorąca woda, ogrzewana w palenisku kuchennym, kanalizacja, światło elektryczne i t. d. W sypialniach jedynie wielkie łóżko pośrodku, gołe ściany, żadnych mebli i wiecznie otwarte okno...

— W całym Londynie w ciągu trzech lat wybudowaliśmy z pomocą rządu 300.000 takich mieszkań... Teraz budujemy sami... Domy utrzymujemy w porządku z dzierżaw, i z nich spłacamy procenty od pożyczek oraz amortyzację. Za lat 20 domy zostaną własnością gminy. Nie sprzedajemy robotnikom nawet oddzielnych domków, gdyż to sprzeciwia się naszym zasadom, chcemy do obyczajów naszych wprowadzić własność zbiorową... Sprzedaż domów wprowadziłaby własność prywatną i zmieniła, zróżniczkowała charakter ludności... Dziś to są sami robotnicy. Płacą za 4 pokoje z kuchnią, ze światłem i wodą 14 i pół szylinga tygodniowo (33 zł,

35 gr.). Jeżeli nie mają dużo dzieci, lub który z synów wyjechał na zarobek i pókój mają wolny, pozwalamy go odnająć... Choć nie lubimy tego. Jeżeli ktoś nie płaci, a jest bezrobotny, potrącamy mu z wydawanej zapomogi. Pracujących, a niepłacących podajemy do sądu, ale zwykle do tego nie dochodzi. Żyjemy w zgodzie i dobrem porozumieniu, gdyż robotnicy czują, że mają w nas braci i przyjaciół. A teraz pokażę panom jak mieszkali robotnicy przed 50-ciu laty. Mamy jeszcze takie za-
bytki! — opowiadał nam przewodnik.

Zaprowadził nas do małego domku, istnej kupeczki cegły i kamieni z wąskimi, jak strzelnice, oknami i również wąskimi drzwiami. Wyszła na nasze spotkanie jakaś zamorusana i odrapana kobiecina. Była trochę zmieszana naszą prośbą o pozwolenie zwiedzenia mieszkania, ale interwencja członka samorządu złamała jej niechęć. Weszliśmy. Co za nora! ciemna, zakopcona, ciasna, zapchana gratami!... Na górę, do sypialni już nas stara puścić nie chciała... Wyobrażam sobie, co tam było w tej maluchnej ciupce, jeżeli wziąć pod uwagę, że rodzina składała się z pięciu osób... Członek samorządu zdawał się być mocno zawstydzony.

— „Tego już mało i niedługo wcale nie będzie. Kasujemy takie mieszkania!... —

powtarzał wielokroć, wyprowadzając nas na ulicę.

A przecież nieraz w gorszych o wiele mieszkaniach mieszkają polscy robotnicy. A mimo to polscy robotnicy nie starają się o wprowadzanie swoich samorządów, albo je źle kontrolują, jak w Łodzi!... Kto tu winien?! — pomyślałem sobie, opuszczając dzielnicę robotniczą Londynu i żegnając się z uprzejmymi członkami robotniczego magistratu.

SZKOŁY I OCHRONKI.

Chciałem choć pobieżnie zapoznać się z niektórymi urządzeniami społecznymi, dającymi pojęcie o kierunku i stopniu zainteresowania się szerokiej publiczności angielskiej sprawami pierwszorzędnej wychowawczej wagi. Poprosiłem więc p. posła Skirmunta, zaraz przy pierwszym widzeniu, o umożliwienie mi obejrzenia londyńskich ochronek dla najmłodszych dzieci, tak zwanych „nursery“, oraz „settlementów“ dla dorosłych. Pan poseł uprzejmie się zgodził i wydał odpowiednie zarządzenia, dzięki którym natychmiast po zakończeniu uroczystości w P. E. N. Klubie, zacząłem wędrowkę po Londynie ze specjalnie wydelegowanym przewodni-

kiem, młodym, inteligentnym Anglikiem. Od niego dowiedziałem się, że większość takich urządzeń w Anglii stworzona została przez stare stowarzyszenia na tle religijnem, jak np. „Stowarzyszenie Przyjaciół” (Friend Association) i t. d.

Udaliśmy się więc tam. W ogromnym nowym domu, pełnym biur, sal odczytowych i miejsc zebrań, należącym do takiego towarzystwa, bardzo starego, mającego 300 lat istnienia i bardzo bogatego dzięki nagromadzonym leśatom, uzyskaliśmy od wielce uprzejmego pana „managera” (zarządzającego) pozwolenie na zwiedzenie ochronek oraz słynnego settlementu „Toynbee Hall”.

Zaczęliśmy od ochronek. Ochronki okazały się nieszczególne. W paru widnych i czystych pokojach starego ciemnego domu, bawiło się kilkanaścioro dzieci od 2 do 5 lat pod opieką ochroniarki i służącej. Dzieci były wesołe, rumiane, zachowywały się swobodnie, żartowały ze mną, zaśpiewały mi nawet chóralną piosenkę. Dostają śniadanie i „lunch” bułki i mleko, owoce... Po „lunchu” śpią i każde ma swoje „polowe łóżeczko”, płócienne wyrko, na niskiej podstawie — poduszeczkę i kołderkę... Mają kupkę piasku i dużo zabawek. Płaci się jedynie za pożywienie i to bardzo mało. Wszystko przedstawiało się

bardzo przyzwoicie; ochroniarka była młoda, inteligentna i miła, otoczenie kulturalne... Ale nie to spodziewałem się znaleźć w bogatym Londynie! Wszystko o wiele ustępowało podobnym urządzeniom amerykańskim, gdzie w każdej dzielnicy większych miast są jeden albo dwa domki z ogródkiem, doskonale urządzone, a przeznaczone dla najmłodszych dzieci, nawet takich, że dożywiać je trzeba z flaszeczki. Każda robotnica, każda matka pracująca poza domem może spokojnie zanieść tam swoje dziecko i być pewną troskliwej, umiejętnej opieki... Pośrodku ogrzanej, widnej sali. w suchym basenie, otoczonym niską, wysłaną miękko balustradą, pełzają na ciepłym piasku najdrobniejsze małżeństwa.

— Tu w Londynie niema nic podobnego. Tu matki same pilnują małych dzieci. Może gdzieś w fabrycznych miastach są dla dzieci robotnic takie zakłady... Tu, w Londynie ich niema... Nawet takich, jakie pan widział, jest wszystkiego w całej stolicy 12 na siedem milionów mieszkańców — śmiesznie mało, czy nieprawda? Ale my, Anglicy, uważamy, że robotnik powinien tyle zarabiać, aby stać go było na utrzymanie rodziny bez pracy żony, która i tak ma dużo w domu roboty! — wyjaśniał mi mój przewodnik.

Udaliśmy się następnie do podobnych zakładów dla dzieci ułomnych (defective). Utrzymywało je to samo towarzystwo, lecz w tym wypadku samorząd miejski szedł im z pomocą i pokrywał 3/4 wydatków. Wielki, również stary dom posiadał piękne boisko, ogród, obszerną zbiorową salę jadalną i szereg klas. Trafiliśmy właśnie na przygotowanie do „lunchu” z dwóch dań, prostych, ale pożywnych. Uczyły się tu dzieci „ułomne” nie w znaczeniu moralnem, lecz fizycznym, wszelkiego rodzaju kaleki: beznogie, kulawe, bezrękie, z zajączą wargą, wreszcie mniej zdolne, głupawe i t. d. Pokazywano mi chłopaka o śmiałej, wesołej twarzyczce, którego potłukły konie i został czasowo przeniesiony tutaj ze szkoły normalnej.

— Zresztą, sam winien, bo konie drażnił... — zauważyła nauczycielka.

Uszczęśliwiony wisus wyszczerzył zęby i kiwnął mi potakująco głową. Widziałem wśród tej nieszczęśliwej dziatwy smutną parę, siedzącą na uboczu: ślepnącego chłopaka, któremu pomagał w lekcjach jego przyjaciel. Na ścianach dużo wesołych rycin, między innemi widziałem historję Anglii w humorystycznych i dowcipnych karykaturach. Myślę, iż obrazki te głębiej wbiją w wvobraźnię dziecka ważne mo-

menty z życia jego narodu, niż najdłuższe i najpatetyczniejsze opowiadania. Pokazywano mi również brzoźkę, hodowaną przez same dzieci... Każde dziecko, które chce, ma swoją doniczkę lub pudełko z ziemią. A dzieci było w zakładzie około 200. Zarówno z twarzyczek dziecięcych, jak z zachowania nauczycieli wiała wesołość, swoboda i widoczna wzajemna sympatja. Dzieci były śmiałe, odpowiadały na moje pytania chętnie i z pewną dumą pokazywały mi swoje kajety oraz rysunki... Wszystkie dzieci należały do klasy niezamożnej, sama szkoła mieściła się już w dzielnicy robotniczej i była bezpłatna.

TOYNBEE-HALL.

Wieczorem zwiedziliśmy „Toynbee Hall”, wielki settlement w Whitechapel — dzielnicy Londynu, słynącej do niedawna z nędzą, przestępstw i brudu, zamieszkałej przez ludność robotniczą, w znacznej liczbie przez Polaków, Żydów, Chińczyków i t. d. Piękny, duży dom w staro-angielskim stylu, założony w 1884 r. i przezwany na cześć Arnolda Toynbee, jednego z pionierów ruchu „settlementowego”, zapoczątkowanego przez Edwarda Denisona w 1850 r. Denison cieszył się wielkimi

wpływami w Oksfordzie, pociągnął swym przykładem i wymową studentów tego uniwersytetu, a następnie Cambridge'a że postanowili spędzać część lata w Whitchapel'u, aby przykładem, obcowaniem, lekcjami, odczytami, sportem, wpływać na podniesienie poziomu życia mieszkańców nieszczęsnej dzielnicy... Próba powiodła się. Dziś w Londynie, w całym Imperjum Brytyjskiem, nawet na kontynencie Europy i w Stanach Zjednoczonych istnieje dużo „settlement'ów”, wzorowanych na Toynbee Hall'u, który nazwany jest „Macierzą Settlementów”. Po spełnieniu pewnych formalności oraz podpisaniu się w księdze „znakomitych gości” — po przeciwnnej stronicy przeczytałem nazwisko panującego króla — udaliśmy się do biura „pośrednictwa pracy”. Ale biuro to miało specjalny charakter; nietylko zajmowało się wyszukiwaniem zajęcia, gdyż tem trudnią się instytucje rządowe i samorządowe, ile pomagało radą, pośrednictwem i pieniędzmi młodzieży, pragnącej doskonalić się w swoim zawodzie. Tak mi tłumaczyła sekretarka.

— Oto, na przykład, ma pan przed sobą... — tu wskazała na siedzącego w głębi 20-letniego robotnika — ślusarza, który chce odbyć wyższą praktykę. Od niego żądają za naukę oraz na zastaw 10 funtów

szterlingów. On ich nie ma, my mu pożyczamy z tem, że po skończeniu praktyki i znalezieniu roboty będzie nam spłacał tygodniowo, odliczając pewien procent, zwykle 8 proc., od swego zarobku. Rocznie do tysiąca ludzi wspomagamy w ten sposób i nigdy nie mieliśmy zawodu ze zwrotem, chyba w wypadku śmierci. Nawet ci, co wyjeżdżali do Australji i Kandy, przesyłali nam swój procent. Każdy „settlement” ma taki dział, co bardzo wpływa na podniesienie się poziomu zawodowej pracy!

Przeszliśmy następnie do sali „tańców rytmicznych”, gdzie kilkadziesiąt dziewcząt, przeważnie robotnic i sklepowych, przy dźwiękach muzyki, pod kierunkiem nauczycielki ćwiczyło się w ruchach rytmicznych. Lekcje były bezpłatne. Uczennice musiały jedynie posiadać odpowiednie kostjumy.

Wieczерzę spożyliśmy wspólnie z kilkunastoma innymi gośćmi; niektórzy z nich mieszkają w Hall'u po parę miesięcy; kandydatów jest tak dużo, że trzeba nieraz długo czekać na swoją kolej. Goście dostają pokój i całkowite utrzymanie bezpłatnie, mogą jednak składać na rzecz instytucji ofiary. Wśród gości było kilka pań, paru starszych panów, jeden jakiś znany profesor. Nie są niczem krępowani

i biorą zupełnie dobrowolny udział w codziennem życiu Towarzystwa.

— Wśród naszych gości, którzy spędzili z nami dłuższy okres czasu, mamy wielu znakomitych działaczy politycznych, uczonych, artystów; szukali oni bezpośredniego zetknięcia się na zabawach, odczytach i przy pracy z masą robotniczą. To jest naszym zadaniem. To jest konieczne dla polityków i działaczy społecznych — tłumaczył mi przewodniczący „settlementu”.

Sam mówił po rosyjsku, bywał w kolonjach tołstojowców i wskazał mi na portret Tołstoja, wiszący na zaszczytnem miejscu. Wypadek zdarzył, że był w tych samych kolonjach, co i ja i znał tych samych ludzi... Właśnie, gdy rozmawialiśmy o tych rzeczach drzwi się otwały i ku mojemu zdziwieniu pojawił się w nich p. Stanisław R., student uniwersytetu warszawskiego, kolega mego syna, który wraz z czterema innymi studentami zwiedzał Anglję na zaproszenie Stowarzyszenia Angielskich Studentów. Odtąd zwiedzaliśmy Toynbee Hall razem. Po kolacji prostej, skromnej ale smacznej, przeszliśmy do sali „porad prawnych”. Była to zwykła, trochę brudnawa i ciemna klasa do zajęć szkolnych, zdaje się rysownia. W poczekalni na ławkach szkolnych siedział już

num interesantów, czekających swej kolei. Wpuszczano za numerami. Przy stołach grupami siedziało kilku petentów i prawników, rozmawiając półgłosem. Zbliżyłem się do jednej grupy, aby dowiedzieć się, jakie sprawy są roztrząsane. Trafiłem na sprawę mieszkaniową. To samo co u nas. Jakiś gruby pan, przyzwoicie ubrany, drobny urzędnik, chciał się pozbyć niedogodnego lokatora, chronionego ustawą mieszkaniową.

— Ma pan wszelkie moralne podstawy, ale prawnych żadnych... Musi pan czekać sposobności — wyniósł rezolucję adwokat.

Za drugim stołem zasiadła jakaś stara żydówka z mężem. Żydówka podała się, że jest polskiej narodowości, ale kiedy spytałem ją, czy umie po polsku, potrząsnęła przecząco głową i powiedziała, że jej rodzice trochę umieli, lecz że ona urodziła się w Londynie i nigdy po polsku nie mówiła. Mąż jej, również Polak, ani słoweczka po polsku nie umiał. Starali się o poddaństwo angielskie, co uzyskać bardzo trudno. Adwokat zapisał wszystkie potrzebne mu szczegóły i kazał przyjść za parę dni. W trzeciej grupie roztrząsano jakąś sprawę podziału pieniędzy. Tu już był prawdziwy sąd, gdyż obie strony przytaczały swoje argumenty. W czwartej młoda, energiczna prawniczka rozważała

z klientem sprawę rozwodową: żona uciekła od męża, potem wróciła, zabrała dzieci i znowu uciekła... Żąda od męża pieniędzy na utrzymanie dzieci. Mąż żąda zwrotu dzieci i płacić nie chce. Sprawa oprze się o sąd koronny.

Jednocześnie w Hall'u odbywały się kursy wieczorne dla dorosłych, głównie angielskiego, historii, rachunków. Klasy rysunkowe, nauka śpiewów chóralnych oraz wciąż, aż do dziesiątej godziny, ruchów rytmicznych dla chłopców i dziewcząt, są bardzo uczęszczane. Późno wieczorem opuściliśmy zakład, pożegnani uprzejmem zaproszeniem na dłuższy kiedykolwiek pobyt.

KOPALNIE WĘGLA W DONCASTER.

Pociągiem pośpiesznym w cztery niepełna godziny przebyliśmy 200 kil., oddzielających Londyn od m. Doncaster w hrabstwie Yorkshire, gdzie znajdują się kopalnie, które mieliśmy zwiedzić. W hotelu znaleźliśmy się przed 12 w nocy. Powitał nas owacyjnie w hallu jakiś gruby gość, niezmiernie wesoły i rozmowny, zapewne pod wpływem „whisky-soda”. Mnie od razu zaczął nazywać „tatusiem”, a p. Czarnomskiego poklepał po ramieniu, jak-

by go znał ze dwadzieścia lat. Figura wprost z powieści Dickensa. Hotelarz potrząsał głową, nic jednak nie przedsiębrał, żeby wesołość grubego jego-kości zmniejszyć... Widocznie była to miejscowa „gruba ryba”. Wreszcie załatwiliśmy hotelowe formalności wpisywania własnoręcznie do formularzy imienia, nazwiska, wieku i t. d. i znaleźliśmy się w swoim numerze... Zimno, jak w psiarni. Nie pomogły nawet małe pierzynki, narzucone na wierzch kołder, jak to tu we zwyczaju. Obudziłem się zziębnięty o 7-ej rano i daremnie starałem się znów zasnąć. Słońce wesoło przeświecało przez żaluzje, obiecując pogodny dzień. Punkt o wpół do dziesiątej, jak to było umówione, stanęliśmy w biurze „The Bodsworth Main”. P. Czarnomski wręczył służącemu polecający list naszego poselstwa. W chwilę potem wyszedł do nas wysoki, przystojny gentleman i przedstawił się nam jako minister Leonard C. Hodges, inżynier, któremu polecono zapoznać nas z kopalnią. Wyjaśniliśmy mu, o co nam właściwie chodzi. Kiwnął głową, wsadził nas do wspaniałego samochodu, do którego kierownicy sam zasiadł, i ruszyliśmy po równiutkiej, jak stół, wyasfaltowanej ulicy, a następnie po równie gładkiej, wycementowanej szosie. Miasto Doncaster, pamiętające podobno

Cezara, niczem nie różni się od innych miast angielskich. Chyba tem, że zabytków ma mało, gdyż przed otwarciem kopalni węgla było zwykłym targowem, prowincjonalnem miasteczkiem. Dziś ma ze 100.000 mieszkańców, ładne ulice, bogate sklepy, wodociągi, tramwaje, omnibusy, elektryczność, gaz, prasę i t. d. Takich miast w Anglii setki...

Wyjeżdżamy poza miasto. Okolice przecięte licznymi drogami cementowanemi albo makadamizowanemi. Wszędzie domy z ogródkami, ziemia doskonale uprawna, dużo szmaragdowych błoni, przeznaczonych przeważnie na rozmaitego rodzaju sporty. Słońce świeci i krajobraz zlekka sfalowany, powleczony liljową mgiełką, wygląda ślicznie. Tu i owdzie na zakrętach błyska w zaklęstem korycie rzeka Don. Szybko zbliżamy się do wielkich, zionących kłęby czarnego dymu, kominów fabrycznych. Po drodze mijamy szeregi szarych lub różowych domków.

— To są domy robotnicze. Obejrzymy je na końcu!... — mówi p. Hodges.

Już jesteśmy na kopalnianym dziedzińcu. Właśnie wychodzi z szczyt zmiana robotnicza. Młodzi przeważnie ludzie, z twarzami umazanemi pyłem węglowym, w ubraniach brudnych i zniszczonych, często

wyłatanych, ale nigdzie nie widziałem łachmanów. Oddają latarki i odchodzą grupami do domów.

— Szkoda, nie będziemy widzieli robotników przy pracy, gdyż to ostatnia dzień zmiana. Kopalnia nie pracuje cały dzień, lecz 15 godzin zaledwie... Nie mamy jeszcze po strajku dość zamówień i wagonów brak!... — wyjaśnia p. H.

Zwiedzamy zewnętrzne urządzenia: parowe i elektryczne motory, sortownię, olbrzymią płoczkarnię, gdzie się węgiel myje, ładownię, gdzie się ładuje wprost do wagonów, gdyż kopalnia wcale węgla nie składa w hałdy, a skoro wagonów niema, przerywa robotę. W ten sposób unika się ładowania i kruszenia złogów węgla. Spuszczamy się pod ziemię. Odbierają od nas wszystko, co ma styczność z ogniem: zapalniczki, zapalniczki, papierosy... Na głowy wkładają nam hełmy skórzane, do rąk dają łaski oraz lampki elektryczne z reflektorami. Wchodzimy na platformę do spuszczenia wagoników i zapadamy się z niesłychaną szybkością na dół. Chyżość jest tak wielka, że chwilami mam wrażenie, iż nie spadam lecz wzlatam. Z dołu wieje mocny, gorący wicher. Nie wiem, czy podróż trwała dwie minuty. Już jesteśmy na dnie, na głębokości 950 jardów (około 800 mtr.). Korytarz dość szeroki,

obmurowany cegłami. Przez drzwi w jednej z bocznych ścian wchodzimy do pokoju inżyniera kierującego podziemnymi robotami. Mocny, szeroki w barach, prawie kwadratowy jegomość z twarzą wesołą i energiczną, robi na mnie wrażenie jakiegoś... „podziemnego marynarza”. Zaznajamiamy się; zdaje się, że po raz pierwszy widzi Polaków, ale już o nich wie z powodu konkurencji w czasie węglowego strajku. Widocznie rad ze znajomości, a ciekawość nasza pochlebia mu; ostrzega wszakże, że wędrówka będzie miejscami przykra. Obejmuje przewodnictwo naszej maluchnej wyprawy. Przesuwamy się wąskimi przejściami między rzędami wagoników, próżnych lub pełnych węgla, stojących na dwóch równoległych torach. Korytarz zwolna zwęża się, ale jest wciąż podmurowany z boków, a niski strop ma oparty na żelaznych szynach. Sucho, przewiewnie, powietrze dość czyste. Tu i tam głucho szumią elektryczne wentylatory, — grube ich rury widnieją wzdłuż ścian. Posuwamy się dość szybko, pomimo licznych przeszkód. Już znikły podmurowania; między drewnianymi słupami, które rosły niedawno w lasach Polski, błyska czarny węgiel lasów, które porastały Anglię przed milionami lat, lub szarzej naga opoka. Strop, miejscami bardzo niski,

podtrzymują drewniane belki lub stęple. Chropowate, groźne złomy występują miejscami z ciemności w świetle naszych latarek, jak potworne kły rozwierającej się przed nami paszczyki ziemi. Temperatura rośnie...

— 70 stopni Fahrenheita (25 R.) — mówi p. H.

Przykładam rękę do węglowego zboczą; ciepłe, jak ludzkie ciało.

— Czasami zdarzają się pożary, gdyż węgiel miejscami zawiera siarkę i sam się zapala. Mielśmy pożar w czasie strajku, ale szczęśliwie ugasiliśmy w porę... Za to nie mamy żadnego kłopotu z wodą... Sucho!... — tłumaczy nasz przodownik...

Gorąco wzrasta, czuje się pewną duszność. Korytarz to wznosi się trochę w górę, to opada, posłuszny złożom węgla. Warstwa węgla dość cienka, nigdzie grubsza nad siedem stóp; w wielu miejscach schodzi do trzech, nawet do dwóch. Wtedy strop korytarza opuszcza się tak nisko, że, łdąc, zginaemy się we dwoje, ale dalej warstwa znowu grubieje i wysokość korytarza odpowiednio rośnie. Tu i tam odchodzą bocznice, opatrzone torami kolejowymi, w niektórych błyskają światelka i wychodzą stamtąd ciemne postacie patrolujących górników. Mijają nas w mil-

czeniu. Przypominam sobie wesołe „szczęść Boże” naszych kopaczy. Prześlizgujemy się wąską szczeliną mimo miejsca, gdzie zawalił się strop. Jeszcze rumowiska nie uprzątnięto. Docieramy do samego miejsca robót. Płachty grubego płótna zamykają tu i owdzie korytarze. Zawieszają je, zostawiając otwarty przestrzał w górze, aby zmusić powietrze do krążenia w warstwach wyższych. Elektryczne wentylatory stoją tutaj, ale milczą, gdyż niema niko- go. Duszno i gorąco. Robotnicy pracują zwykle nago w krótkich jedynie spodeń- kach. W jednej niszy widzę oparty o miąższ węglowy żelazny łom, na ziemi obok leży kilof i dwie szerokie łopaty żelazne.

— Kopiemy węgiel dotychczas ręcznie. Nasz węgiel jest kruchy!... — objaśnia prze- wodnik i uderza kijem w wiszący złom węgla, który istotnie obsypuje się z sze- lestem. Dźwigam jednak nieznacznie łom i widzę, że jest ciężki i ostry. Posuwamy się jeszcze dalej naprzód; dochodzimy do miejsca, gdzie się węgiel wyklinia. Tu ciasno, duszno i bardzo gorąco. Szychta załamuje się pod prostym kątem... Idziemy nią czas jakiś, poczem zawracamy w przecznicę i zaczynamy wracać. Zro- biliśmy kilometr pod ziemią. Z prawdziwą przyjemnością słyszymy znowu warczenie wentylatora...

— Mamy doskonałą naturalną wentylację i mało gazów. W czasie strajku wentyle nie pracowały, a nie mieliśmy wypadku!... — mówi inżynier H. — Koni nie używamy pod ziemią już dawno, wszystko robi elektryczność.

Znów bieleją po bokach murowane ściany i pierś swobodniej oddycha. Za chwilę stajemy na platformie i szalony pęd porywa nas ku górze. Tym razem wydaje mi się przeciwnie, że spadam...

Choć na dworze chmury przysłoniły słońce i pada deszcz, świat Boży wygląda bądź co bądź o wiele weselej po tych czarnych otchłaniach.

„THE BODSWORTH MAIN”.

Na śniadaniu u dyrektora otrzymaliśmy następujące wyjaśnienia: Kopalnia „The Bodsworth Main”, zatrudnia 3,500 robotników i jest jedną z kilku kopalni, położonych w pobliżu, tworzących jedno akcyjne towarzystwo „Doncaster Coal Mining Association”. Wszystkie razem kopalnie te zatrudniają około 20.000 robotników. Przed wojną i rewolucją rosyjską miały się bardzo dobrze. Produkowały pewien specjalny rodzaj węgla, który się zwał „putiłowskim” i szedł całkowicie na użytek tej

rosyjskiej fabryki. Teraz, rozumie się, że ten eksport urwał się, gdyż putilowskie fabryki leżą częściowo w gruzach lub stoją nieczynne. W czasie strajku węglowego rynki szwedzkie i norweskie zajęte zostały przez polski węgiel.

— Całe dla nas szczęście, iż węgiel ten jest tak lichey, że rynki te znowu do nas wracają! — powiedział mi otwarcie dyrektor. — Nie mamy jednak jeszcze dosyć zamówień, aby pracować w całej pełni. Robotnicy rzadko pracują wszystkie dni w tygodniu. Wprowadzamy akord; robotnicy łączą się w grupy od 5 do 10 osób i biorą na wyrobienie działki, za które płacni są od tonny. Pracują $7\frac{1}{2}$ godzin dziennie, zarabiają od 2 funt. 60 szylingów (100 zł.) tygodniowo do 3, najwyżej 5 funtów tygodniowo.

Kobiety nie pracują wcale w kopalniach, ani pod ziemią, ani na powierzchni. Chłopców od lat 14 są przyjmowani na roboty i zarabiają około $1\frac{1}{2}$ funta tygodniowo (60 do 70 zł. pol.). Widziałem tych wyrostków wracających z kopalni, czarnych i znużonych. Używani są do robót lżejszych, pomocniczych.

Po śniadaniu wsiadamy do samochodu i jedziemy przede wszystkim do biblioteki robotniczej. Pokój dość duży i widny, po-

środku stoły, na nich gazety, tygodniki, miesięczniki... Wśród książek w szafach uderzyła mię przewaga dzieł z historii Anglii... Ich może najwięcej i są najbardziej zużyte, niemniej w każdym razie, niż powieści i poezje. Pewna ilość dzieł ekonomicznych stoi osobno, wśród nich kapitał Marksa, ale... znać, że niebardzo czytany. Bibliotekę prowadzą sami robotnicy. Na biblioteki oraz inne urządzenia społeczne, jak kluby, teatry, towarzystwa sportowe i t. d., daje pieniądze rząd z funduszu, otrzymanego przez obłożenie każdej tonny węgla podatkiem jednego „penny”, co daje 500.000 fun. szt. rocznie. Podatek ten jest już pobierany pięć lat i będzie pobierany jeszcze pięć; on to pozwolił stworzyć w środowiskach robotniczych całą sieć instytucyj kulturalnych! — tłumaczył nam Mr. Hodges.

Pokazują nam piękny plac na football, tenis oraz doskonały cyklodrom. Opodal widać nieduży domek zarządów sportowych. Sama biblioteka mieści się w wielkim domu ludowym, w którym prócz sali dla gry w bilard, szachy, oraz domino, jest wielka sala teatralna i taneczna. Właśnie na ścianie tej sali wisi wielkie ogłoszenie, wzywające publiczność do udziału w balu, mającym się tutaj odbyć za tydzień na rzecz jakiejś chrześcijańskiej organizacji

filantropijnej. Sala może pomieścić 1200 ludzi. Pod sceną bardzo dowcipnie urządzony skład na krzesła. Sala wysoka, widna, ale bez galerji. Otwór dla projekcji kinematograficznych na parterze w ścianie, naprzeciw sceny. Wszystko bez przepychu, ale czyste, jasne i solidne.

Stąd jedziemy do „Klubu Robotniczego”, który znajduje się gdzieindziej i utrzymuje ze składek członkowskich. Ma członków 700. Mieści się w prywatnym domu, wynajętym. Dom bardzo piękny, z wielkimi lustrzanemi oknami przez całą ścianę, w cudownym ogrodzie; ma kwaciarnię, oranżerję, gdzie ogrodnik oczyszczał właśnie z zimowych prochów winne latorośle... Dużo kwiatów; dzikie wino pnie się po ścianach, glicynje zwisają z balkonu... Na nasze spotkanie wychodzi gospodarz klubu, robotnik, wesoły, gruby pan, coś w rodzaju tego, który przywitał nas na wstępie w Doncaster. Wchodzimy do bufetu, gdzie stoi i siedzi gromadka robotników. Jedni grają w sali obok w bilard, inni w oszklonym wykuszu przy stolikach piją piwo i stukają dominem. Mają również bibliotekę i czytelnię. Urządzają zabawy i inne imprezy dochodowe, które wraz z dochodami ze sprzedaży trunków nie tylko pokrywają dość wysoką dzierżawę pałacu i ogrodu, lecz dają znaczną

resztę, obracaną na zasilek dla innych instytucyj kulturalnych robotniczych. Nadwyżka ta sięga 500 funtów rocznie (22.000 zł.). Przy klubie jest księgarnia. Projektują zamianę sąsiadującego z ogrodem zapuszczonego jaru na wielką pływalnię.

I „Klub” i „Dom ludowy” były otoczone całym szeregiem domów i ulic o jednostajnym, ale miłym wyglądzie, wyciągniętych wśród pól i ogrodów długimi sznurami. Były to domy robotnicze. Od pierwszego rzutu oka dostrzec można różnicę w kształcie i typie rozmaitych kompleksów.

— Są stare, przedwojenne, i nowe. Od czasu wojny nasze towarzystwo wybudowało 4.000 nowych domów. Każdy dom zazwyczaj ma ogródek, kwietnik przed domem i warzywnik oraz płaszarnię za domem. Każdy dom zawiera zwykle dwa mieszkania 4-pokojowe, choć są domy jedno-mieszkaniowe z 6 i 7, nawet 8 pokoi, zależnie od wielkości rodzin i zamożności robotników! — objaśniał nam mr. Hodges, wioząc nas samochodem po gładko wycementowanych ulicach. — Przed wojną domek pojedynczy kosztował nas 250 funtów; oddawaliśmy je na własność robotnikom, którzy płacąc tygodniowo 6 szylingów (mniej niż $\frac{1}{2}$ funta), spłacali w ciągu 18 lat wartość domu kompanji i stawiali

się prawnymi posiadaczami domów. Obecnie koszt budowy wzrosły do 500 funtów i robotnicy nie są w stanie wypłacać odpowiednich sum. Przeszliśmy wyłącznie do systemu dzierżawnego. Robotnik za mieszkanie 4-pokojowe z łazienką i kuchenką płaci 15 szylin. tygodniowo, a bez łazienki $11\frac{1}{2}$ szyl. tygodn. W czasie strajku nie płacili nic, obecnie muszą spłacać zaległości, wnosząc tygodn. o pół renty więcej.

Poprosiłem, żeby mi pokazano mieszkania najuboższe, średnie i najlepsze. Wszystkie były tego samego typu i zupełnie podobne do widzianych już przezemnie w Londynie. Nieduża sionka, z niej wejście do największego pokoju, służącego zazwyczaj za jadalnię i bawialnię. Duży ładny kominek, urządzony tak, że można w nim gotować, na wstawionej pod płytki okap żelaznej kuchence. Pośrodku stół, wkoło krzesła i fotele, kredens z porcelaną i szkłem. W kilku mieszkaniach widziałem pianino. Wszędzie uderzała mnie ogromna ilość mebli, gracyków, luster, sztychów i obrazów na ścianach, rozmaitych „cacek” na stolikach i półkach. Pokoje wogóle nieduże (3×3 lub $3\frac{1}{2} \times 4$ metry) wydawały się wskutek tego jeszcze ciaśniejsze, ale robiły wrażenie zamożności, nawet pewnego komfortu. Zato sypialnie, których bywało 2 i 3, angielskim

obyczajem świeciły nagimi ścianami i nie miały mebli. Po środku stało zazwyczaj jedno dwuosobowe łóżko i nic więcej; czasem z boku jakiś tapczanik, widocznie dla młodszych dzieci. Sypialnie rozmiarami znacznie ustępowały jadalni. Dookoła łóżka ledwie można było przejść. Wszędzie w oknach firanki, kwiaty w doniczkach i w wazonikach. W większych mieszkaniach prócz łazienki była mała pralnia i zmywalnia dla naczyń z zawsze gorącą wodą, ogrzewaną przez kuchenne palenisko. Wszędzie, rozumie się, wodociągi, kanalizacja, elektryczność...

W paru wypadkach trafiliśmy właśnie na posiłek rodziny; z ciekawością rzuciłem okiem na stół: ryba, jarzyny, mięso, biały chleb, masło, ser... Nie były to bynajmniej rodziny najzamożniejsze. O jakimś odżywianiu się „kartoflanemi obierzynami” — trudno było nawet pomyśleć...

Kiedy teraz, pisząc te słowa, zastanawiam się nad wszystkim, co widziałem, dochodzę do przekonania, że różnice nasze z Anglią w produkcji węgla zachodzą głównie... w dziedzinie socjalnej. Węgiel mamy nie gorszy, wydobywamy go w podobny, a nieraz w lepszy sposób, niż Anglicy, lecz sortujemy go i przewozimy — daleko gorzej. Przedewszystkiem ilość sił

w sortowniach angielskich o wiele jest większa i staranniejszy podział na gatunki. Węgla wcale nie składa się w złoża, lecz z sit idzie wprost do kolejowych wagonów. Staranniej również jest od naszego oczyszczany; kiedy mi pokazano odrzucane na bok, bezużyteczne śmiecie węglowe, ze zdziwieniem znalazłem wśród nich dużo kawałów węgla, prawda, że przerośniętego opoką, lecz u nas uchodzącego w handlu za węgiel „średniej wartości”. Brak zupełny kamieni w węglu angielskim podnosi ogromnie jego wartość ciepłodajną i czyni zeń towar pierwszorzędnej jakości. Na to, aby tych kamieni było mało, potrzebna jest mądra handlowa przezorność kierowników i bystre oko oraz zręczna ręka robotnika. Anglicy są dobrymi kupcami i dla doraźnego zysku nie poświęcają nigdy źródeł stałych dochodów, dlatego kamieni do węgla nie mieszają, a robotnik angielski, dobrze odżywiony, wypoczęty, wygodnie mieszkający i oddychający w czasie roboty możliwie czystem powietrzem, może dłużej od innych robotników zachować „bystrość oka i zręczność ręki”. W tem też jest mądre i ludzkie wyrachowanie!...

DWIE WIZYTY W NIEMCZECH.

22 lutego 27 r.

Uchodzimy za najlepszych kolejarzy w Europie. Podobno nasze pociągi nie spóźniają się, ale tym razem się spóźniły i całą godzinę przetrzymano nas w polu pod Poznaniem. Wielkopolska zawsze idzie śladem Europy. Pociągi w Belgji, Francji, Anglji, a nawet w Niemczech, spóźniają się od czasu wojny, czy więc możemy być od nich gorsi?!

Pośpieszny, którym jechałem, był prawie pusty, szczególnie wagon bezpośredniej komunikacji z Ostendą, mało zawierał pasażerów. W Warszawie wsiadł jakiś pan z miną dyrektora teatru, wyjął „Głos Prawdy” i zagłębił się w nim, co widząc drugi pan, z miną dyrektora departamentu, odwrócił się doń ostentacyjnie plecami. Obaj wysiedli w Łodzi. Na ich miejsce wsiadł jakiś stary żyd, chałciarz: pewnie wioził pieniądze, gdyż miał jedynie wy-

pchaną teczkę, którą położył sobie pod głowę i bardzo się troszczył, czy aby przedział jest zamknięty. Ja widocznie wzбудziłem w nim zaufanie, gdyż pozwolił przytłumić światło i nawet wkrótce sam zachrapał. W Poznaniu wysiadł. Odtąd jechałem sam, nietylko w przedziale, ale w całym wagonie. Jedyne w trzeciej klasie majaczyła jakaś para.

Obudzono mnie w Zbąszyniu. Rewizja była uprzejma i względna, ale bądź co bądź, jak się okazało, najsurowsza na całej mej drodze... I słusznie: tam niema co przemycać, a paszport dyplomatyczny, jaki mnie zagranicą chronił, tyle razy w Polsce był nadużywany!

Ciekawy byłem bardzo Niemiec. Nie widziałem ich od 1916 roku, kiedy to spędziłem kilka dni w Berlinie, jadąc do Lozanny na Kongres Narodowości uciskanych przez Rosję; kiedy to po raz pierwszy przed Europą i światem całym postawiliśmy wraz z p. Łempickim **Niepodległość Polski jako program Polaków.**

Pamiętam jakie przerażenie wywołało to wśród Niemców, Francuzów, Anglików... Natomiast rozmaite narody z Kaukazu, Krymu, Środkowej Azji, Turkiestanu, nawet z Mongolji, w baranich czapach i długich bekieszach, padały nam w objęcia

i również zaczęły żądać dla siebie niepodległości... Irlandczycy, którzy nie wiem z jakiego powodu znaleźli się również na tym kongresie, wyrażali nam swój entuzjazmu i mocno wymyślali Anglii.

Powstał zamęt... Niemcy, którzy liczyli na zupełnie co innego, rozgniewali się i grozili, że nie pozwolą nam wrócić do Polski, jeżeli nie dodamy „niepodległa Polska w połączeniu z państwem niemieckim“, nie zgodziliśmy się na żadne, choćby najniewinnniejsze dodatki do niepodległości i miałem z tego powodu przykrą przeprawę z niemieckim dyplomatycznym agentem, przydzielonym jeszcze w Warszawie do nas. Odtąd zaczęły się prześladowania mnie przez Niemców, z początku ukryte, a następnie jawne.

W powrotnej drodze, przy rewizji rozbierano mnie do naga, a jednak zdołałem przewieźć sprawozdania ze zjazdu i mowę Łempickiego, napisane drobniutko na cieńkiej bibułce.

Przypominam sobie to wszystko, jadąc przez Niemcy i przyglądając się ośniewanym zlekka polom z okien polskiego wagonu, wybudowanego już w niepodległej Polsce przez firmę „Lilpop, Rau i Loewenstein“ (wagon wcale nie gorszy od zagranicznych). Jakaż szalona zmiana na po-

lach w porównaniu z wojennemi czasy!... Pola, podówczas zachwaszczone i źle zao-rane, niewprawnemi rękami kobiet — zno-wu przedziwnie, miłośnie uprawne... Znów widzę wszędzie gromady mężczyzn, tę-gich, zdrowych, dobrze odżywionych i bar-dzo pewnych siebie, jakich wówczas w środkowych Niemczech nie spotykało się wcale, chyba w mundurach, w wojsko-wych pociągach, przebiegających kraj ze wschodu na zachód lub odwrotnie. Znik-nęły gromady obdartych, bosych kobiet, dzieci, starców, jakie wówczas często spo-tykałem na drogach i pomniejszych sta-cjach... Wszędzie dobrobyt dawny i dawny, rubaszny, z byle czego, śmiech...

Zapomniały Niemcy o dniach cierpienia i porażki... Miasta oświetlone, ożywione, ruch wszędzie wielki, pociągi pełne... Ale głównie uderzyło mnie **budownictwo**. Nie mówię o Berlinie, gdzie, jak wiadomo, w czasie złośliwej dewaluacji marki, po-wstały całe dzielnice nowych domów, ale nie mijałem miasta i miasteczka, gdzieby nie białały rzędy świeżutkich budowli... Brzydkie, szaro-czerwone (dużo wśród nich cemento-betonowych), ale liczne i, jak mi mówiono, wygodne, współcześnie urzą-dzone i zaopatrzone, tanie, sprzedawane przez koncesjonowane spółki budowlane ludziom niezamożnym, inteligencji pracu-

jącej oraz robotnikom. Niemcy roją się od takich domów, a ulice miast, pewnie na skutek tego, roją się od gromad tęgich, rumianych, wesołych dzieciaków...

Praca skrzętna, zabiegliwa wszędzie wre, zamożność rzuca się w oczy... Ale wraz z nią wróciła dawna buta i tępota... Zniknęły uduchowione twarze cierpiących w czasie wojny i zaraz po wojnie Niemców... A kiedy znalazłem się w Westfalji, gdy pociąg nasz przebiegał mimo łyskających krwawą łuną wulkanów Kruppa, kiedym ujrzał ten nieustanny wysiłek jedną myślą opętanych milionów i przypomniał sobie niedawną mowę Westarpa — ogarnęła mnie groza. Czyż niezbędnie konieczny jest dla ucłowieczenia Niemców drugi Grunwald? I czyż ten Grunwald, jak za czasów Jagiełły, znowu spadnie na barki naszej Ojczyzny?!...

14 września 1930 r.

Los zdarzył, że 14-go bieżącego miesiąca, a więc w niedzielę wyborczą, znalazłem się w Berlinie. Rozumie się, że byłem niezmiernie ciekawy przebiegu głosowania. Zapowiadano gwałtowne starcia między socjalistami i hitlerowcami.

— „Może nawet będą... barykady!” — mówiono tajemniczo w sobotę.

Późnym wieczorem zwabiły nas do okien dźwięki trąb i straszliwe wrzaski: Hitler!... Hitler!... Hoch!... Środkiem ulicy w wielkim ciężarowym samochodzie przejeżdżała gromada ludzi, machając pochodniami i białymi sztandarami z czarną swastyką... Na przedzie orkiestra dęła usilnie w wielkie, mosiężne trąby i waliła w bębny... Przechodnie na trotuarach zatrzymywali się na chwilę, patrzyli w stronę samochodu, poczem spokojnie szli dalej. Za samochodem biegły tłumy chłopaków i chwytali rozrzucone ulotki.

Nazajutrz wstałem wcześniej i zaraz otworzyłem okno. W nocy spadł deszcz, bruk był wilgotny, a nad dachami ciężkich, ciemnych domów płynęły szare chmury. Powietrze wypełnione było zgniłym zapachem i przytłumionym gwarem wielkiego miasta. Daremnie nadstawiałem uszu: nie usłyszałem, ani nie zobaczyłem nic szczególnego.

— To pewnie tutaj tylko, bo ta dzielnica zamożna... spokojna... Zupełnie co innego będzie w Moabicie, gdzie mieszkają robotnicy, albo na przedmieściu Stieglitz, gdzie panują hitlerowcy!... — tłumaczono nam

Pojechaliśmy więc otwartym samochodem do Moabit.

W miarę oddalania się od środka miasta, zaczęły pojawiać się coraz liczniejsze oznaki odbywających się wyborów. Tu i owdzie zamajaczyły flagi i ogłoszenia, na chodnikach i jezdniach zabielały ćwiartki porzuconych ulotek.

— Mało ich w tym roku. Dawniej ulice bieleły od nich, jak od śniegu... Obecnie — kryzys!... Oszczędności!... Dlatego pewnie i plakatów mało... — objaśnił nasz przewodnik.

Nareszcie jest coś: w jednej z bocznych ulic bije czerwona łuna od flag, emblematów, napisów, wstęg... Widok dość malowniczy... Miejscami szerokie płachty czerwonej tkaniny przeciągnięte z jednej strony ulicy na drugą... Na nich bolszewickie gwiazdy, sierpy, młoty i napisy K. P. D.

— Acha, to tu! — Komuniści!... Liczba 4, to numer ich listy! Widzi pan portret Lenina, a obok polecenie: „Wählt Sowjetdeutschland!“ Głosuj na sowieckie Niemcy! Przecież to jawne wezwanie do przewrotu!... Czy nie beczelność?

Takich wezwań, portretów Lenina, sierpów, młotów, gwiazd, wychwalań Rosji Sowieckiej wszędzie pełno...

Przed redakcją „Rothe Fahne“ parę tysięcy ludzi słucha w skupieniu gwałtownych przemówień roznoszonych po obszer-nym placu z okien pierwszego piętra przez

wielkie głośniki... Mowa, mocnem echem odbija się od ciężkich murów wielkiego teatru ludowego „Volks Bühne”.

„Tu panują komuniści! Socjal-Demokraci nie śmia tu zagładać!”

Istotnie socjal-demokratycznych plakatów prawie nie widać. Natrafimy jednak trochę dalej na ulicę, gdzie afisze i choraągwie komunistyczne mieszają się z socjal-demokratycznymi, a nawet w jednej z ulic widzimy prawie wyłącznie czerwień znaczoną literami S. D. P. oraz numerem jeden. Dekoracje jednak są o wiele mniej sute, niż u komunistów:

— Nic dziwnego: ci dostają na wybory pieniądze z Rosji, a socjal-demokraci nie dostają znikąd i mają na karku trzy miliony bezrobotnych!...

— Którym komuniści obiecują natychmiastowy chleb i pracę za oddane na siebie kartki i głosy! — dodał jeden z panów.

— Jak w Rosji, gdzie do tej pory gło-
dują, dostając odwrotnie chleb za kartka-
mi...

— Nie wierzą!... Nikomu nie wierzą, prócz tym, co dają im dobrowolnie pieniądze!... Uważają to za dowód ideowości i braterskiej bezinteresowności bolszewików!

Dostrzegamy w gorze samolot, z którego sypią się na miasto obłoczki, przez nikogo zresztą nieczytanych, ulotek.

— Czy to też komuniści? — pytam.

— Nie, to socjal-demokraci!

W Moabicie miało się wrażenie, że te tylko dwie partje walczą ze sobą. Innych nie było widać. Wśród kilku spotykanych samochodów agitacyjnych, pełnych młodych ludzi i dziewcząt z chorągwiami, za ledwie jeden miał barwy centrowe białółółto-czerwone. Nawet hitlerowców było mało: na jednym wozie jechali triumfalnie, ryczeli i wygrażali pięściami na wszystkie strony, a drugi stał otoczony przez policję, na wpół opróżniony z manifestantów, których przesadzano gwałtownie do automobilów policyjnych. Widziałem też sporo aresztowanych komunistów, chociaż wogóle porządek nie był nigdzie poważnie naruszony. Ogromna ilość rozrzuconej po całym mieście policji, wszystko trzymała w żelaznych karchach. Za każdym wozem agitacyjnym podążał wóz policyjny z ukrytymi w siedzeniach karabinami maszynowymi. Przed każdym lokalem wyborczym posterunek policyjny nie pozwalał nikomu agitować, zatrzymywać się na dłużej, nawet rozdawać ulotek. Ponieważ takich punktów wyborczych było bardzo dużo,

nigdzie nie tworzyły się ogonki z głosujących i łatwo było utrzymać porządek. Jedyna oznaka, po której poznać można było punkty wyborcze, były grupki ludzi z transparentami numerów list wyborczych na piersiach i plecach.

Stali spokojnie obok siebie i nawet przyjacielsko rozmawiali ze sobą.

Na ostatku udaliśmy się do dzielnicy Stieglitz, gdzie mieli panować hitlerowcy, ale spokój tam znaleźliśmy zupełny. Hitlerowców było mniej niż w Moabicie, a chorągwi i transparentów wcale nie było. W jednym miejscu tylko spokojnie wisiały obok siebie biała hitlerowska chorągiew z czarną swastyką i biało-żółto-czerwona — centrowa, pod nimi na trotuarze leżała garsteczka ulotek.

Na ulicach żadnego ożywienia, zwykły leniwy, świąteczny ruch i przyciszona świątecznie uliczna gędzba... Widocznie hitlerowcy tak tu byli pewni zwycięstwa, że uważali za wskazane oszczędzić sobie trudu i wydatków... Ale kiedyśmy już wracali, ulica jakby nagle zadrgała od nieoczekiwanych dźwięków: środkiem jezdni pędziło na motocyklu dwóch ludzi z czerwonym sztandarem socjał - demokracji, a w dali za nimi toczył się rozśpiewany i ukwiecony takimiż chorągwiami auto-

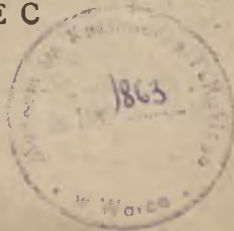
mobil pełen robotników... Zatrzymaliśmy nasz automobil w oczekiwaniu, co będzie. Na chodnikach przechodnie również zatrzymali się, kierując oczy na prowokujące w tej dzielnicy zjawisko, lecz rychło ruszyli spokojnie dalej, gdyż tuż za samochodem śmiałych manifestantów podążał inny wóz pełen błękitnych, policyjnych mundurów...

A jednak, a jednak opowiadali mi wiarogodni świadkowie o olbrzymiem zniszczeniu, jakie dokonane zostało na ulicach Berlina w czasie rewolucji 1918 roku i sam widziałem na wielu gmachach niezatarte jeszcze ślady kul od staczanych tu bojów...

Krótką jest jednak pamięć ludzka: w tym samym dniu, kiedy tak spokojnie i groteskowo zabawiał się Berlin swemi wyborami, padło w Niemczech 14 milionów głosów za partjami dążącemi do nowej wojny i nowych rewolucyj... A jeszcze znamiennejszą rzeczą jest okoliczność, że znaczna ilość z tych głosów była oddana przez niemieckie kobiety... Już zapomniały one o łzach wylanych na mogiłach poległych i nad kołyskami kalekich, niedonoszonych z głodu dzieci...

K O N I E C

Dr. med.
ANTONI NASIŁOWSKI
w Sosnowcu



- *51. „Tajniki szpiegostwa angielskiego“ Robert Boucar.
- *52. „Wielkie łowy“ Ejsmond.
53. „Caryca Praskowja“ Kazimierz Bartoszewicz.
54. „Bajazet Błyskawica“ Jerzy Bandrowski.
55. „Zdrajca w rodzinie Habsburgów“ Adam Nowicki.
56. „Biała Czarodziejka“ Aurelja Wyleżyńska.
57. „Eleonora Duse“ Hanna Skarbek.
- *58. „Wśród kosmatych ludzi“ Wacław Sieroszewski.
- *59—60. „Raidy łodzi podwodnych“ St. Str. Wojtkiewicz.
61. „Fakir z Namanganu“ Junosza Gzowski.
- *62. „Dynamitem ku bogactwu i sławie“ Huka-Laskowski.
63. „Miłość Wielkiego Księcia“ Breszko-Breszkowski.
- *64. „Ossowiecki — polski jasnowidz“ Zofia Tuwanowa.
65. „Kat Sanson i jego epoka“ K. Sierp.
66. „Mohammed II“ J. Bandrowski.
67. „Listy anonimowe“ Z. Dromlewiczowa.
68. „Arlekin i Kolombiny“ Dr. Tłuchowski.
- *69. „Tajniki szpiegostwa niemieckiego“ Dr. Zajączkowski.
70. „Zabójstwo gen. Margrafskiego“ Krzesławski.
71. „Valentino“ S. Heymanowa.
72. „Car kirgiski Abda Chan“ A. Gzowski.
73. „Różowy brylant“ Koszko.
74. „Zabójstwo pułk. Sudiejkina“.
75. „Grün—kat Warszawy“ Wroczyński.
76. „Tajniki szpiegostwa austriackiego“ M. T.
- *77. „Wyprawa Livingstona“ Dr. Majewski.
- *78. „Wojna Kanopki z Toruniem“ J. Grabowski.
79. „As-asów, por. Fonc“ St. Str. Wojtkiewicz.
80. „Grün—ochrannik“ J. Sokolicz-Wroczyński.
- *81. „Czyciele Ś-go Kaktusa“ Dr. J. M. Majewski.
- *82. „Tajniki szpiegostwa francuskiego“ Dr. J. P. Zajączkowski.
83. „Radziwiłłowe“ Kazimierz Bartoszewicz.
- *84. „Tajniki szpiegostwa czeskiego“ Mergiel.
- *85. „Lindbergh“ St. Strumph-Wojtkiewicz.
86. „Trująca Syrena Andaluzji“ H. Skarbek.
87. „Szpiegostwo niemieckie w Polsce“ Br. Tkaczyk.
88. „Za kulisami caratu“ Dr. J. P. Zajączkowski.
89. „Spadek, którego nie było“ Z. Dromlewiczowa.
- *90. „Zdrada pplk. Grimma“ Gen. Wejtko.
- *91. „Orzeł morski“ St. Strumph-Wojtkiewicz.
92. „Księżna i porucznik“ Jan Feldman.
93. „Jak zabiliśmy Płchwego“ Borys Sawinkow.
94. „Truciciele i trucicielki“ W. Melcer-Rutkowska.
95. „Niebieskie ptaki XIX w.“ Meb.
96. „Dwie hjeny“ W. Mergiel.
97. „Ostatnia Wojewódzina Witeńska“ K. Bartoszewicz.
98. „Jak zabiliśmy V. Ks. Sergiusza“ Sawinkow.
99. „Spowiedź szpiega pruskiego“ Dr. Vitellus.
- *100—101. „W odmiecie prowokacji“ prof. i Iwaszkiewicz.
102. „Najsłynniejsze raidy lotnicze“ R. Krechowicz.
103. „Cesarz w niewoli“ J. Feldman.
104. „Pierwsze miłości wielkich ludzi“ Meb.
105. „Łódź podwodna“ Komandor-por. Sadowski.
106. „Zamach gen. Malet“ Dr. J. M. Majewski.

- *107. „Zakorkowanie zecbrugge” — inż. J. Ginsbert.
- *108. „Na podbój Amazonki” M. B. Lepecki.
- *109. „Rockfeller” A. mskl.
- *110. „Azeł” Dr. T. P. Zajączkowski.
- *111. „Księżna Jurjewska” St. Napierski.
- *112. „Francja na morzu” Inż. J. Ginsbert.
- *113. „Kulisy policji rosyjskiej” Pułk. St. Lubodziecki.
- *114. „Amundsen” B. Krechowicz.
- *115.—116. „Telegramy z kosmosu” — Bruno Winawer.
- *117. „Żywa torpeda” — Julian Ginsbert.
- *118. „Szpiegostwo bolszewickie” — Wł. Mergel.
- *119. „Ojciec Hapon” — Brezki.
- *120. „Okrety i pułapki” — J. Ginsbert.
- *121. „Bunt na Potiomkinie” Por. Kowalenko.
- *122—123. „Biljon słów” — Bruno Winawer.
- *124. „Zeppelin 127” — Roman Krechowicz.
- *125. „Bohaterowie Adrijatyku” — Pp. komandor Czeczott.
- *126. „Naj—Naj” Johnes.
- *127. „Od koronek do płyt pancernych” — J. Ginsbert.
- *128. „Tajemniczy DOX” — R. Krechowicz.
- *129. „Z Wersalu do klasztoru” — J. Straszewski.
- *130. „Szpieg—bohaterka” M. Godlewski.
- *131. „Dogger Bank” — Kpt. mar. R. Czeczott.
- *132. „Falszywe tropy” — H. Czerwiński.
- *133. „Tragedje małżeńskie” — prokur. Januszkiewicz.
- *134—135. „Przez Atlantyk” — Major Kubala.
- *136. „Film dźwiękowy” — M. Kren.
- *137. „Admirał Nelson” — Kpt. mar. Czeczott.
- *138—139. „Jan III i Marysieńka” — J. Kiewnarska.
- *140. „Cejlon”, Wacław Sieroszewski.
- *141. „Selimchan” M. Domański.
- *142—143. „Turnieje maszyn” Bruno Winawer.
- *144. „Parciernik Sulfren” J. Ginsbert.
- *145. „Tajemnice okrętu Falke” St. Zimnik.
- *146. „Nierząd Rzplitej”. J. Moriconi.
- *147. „Królowie pięści”. Wiktor Junosza.
- *148. „Carski Jubiler” Książę M. Putiatin.
- *149. „Tajemnice Jogów”. Meb.
- *150. „Pamiętnik z Solówek” — Lenardowicz.
- *151—152. „Syn woźniwy” Bruno Winawer.
- *153. „Narożnik wiatrów” J. Ginsbert.
- *154. „Wrażenia z Ameryki”. — Wacław Sieroszewski.
- *155. „Pojedynki Imci Pana Tarły”. — J. Ryszkowski.
- *156. „Na stalowym rumaku”. — W. Junosza-Dąbrowski.
- *157. „Wywiadowczynie”. — Michał Godlewski.
- *158. „Dwa śluby”. — Władysław Jankowski.
- *159. „Cuszima”. — Julian Ginsbert.
- *160. „Sataniści”. — Janina Walicka.
- *161. „Stolnik litewski”. — W. Godziszewski.